



## Maria Nykowska

## część I z II

Sygnatura notacji: **N1382**

Data urodzenia: **25.02.1930 r.**

Data nagrania: **29.08.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 53 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Maria Nykowska:** Najpierw bardzo proszę, tak jak mówiliśmy, żeby pani powiedziała jak się pani nazywa, gdzie i kiedy się pani urodziła, jak się nazywali i czym się zajmowali się rodzice, coś o rodzinie, o rodzeństwie, o dzieciństwie do 39 roku, a potem chronologicznie: wojna, wydarzenia lipca 43 i co z rodziną się działo później? Bardzo proszę. Urodziłam się na Wołyniu w Ludwipolu 25 lutego 1930 roku. Rodzice moi Antoni Olejarz i Amelia z Łukomskich. Nazywam się Maria Nykowska, nazwisko po mężu. W Ludwipolu spędziłam dzieciństwo, częściowo przebywając też w miejscowości Głęboczanka albo Głębozanka po polsku, bo tam moja babcia mieszkała. Babcia, dziadkowie Łukomscy. Więc tam przebywałam dużo. Rodzinę mam udokumentowaną w takim spisie rodzinnym, więc od 1812 roku. Do czasów wojny o przedszkolu nie było mowy. Spędzałam [czas] biegając, zaliczając wszystkie płoty, drzewa i inne wyczyiny dziecięce, bo byłam żywym dzieckiem. Było nas czworo w domu. Siostra starsza o sześć lat, Stanisława, potem była Julia, która zmarła w dzieciństwie, bo szkarlatynę zaliczała i z tego nie wyszła. Ja byłam trzecim dzieckiem, czwartym była Alicja, która zginęła w czasie wojny i Józef urodzony w trzydziestym piątym roku, jeszcze żyje. Ponieważ byłam trochę niesfornym dzieckiem, więc poszłam do szkoły w wieku sześciu lat. Ale że nie było takich wymagań obostrzonych, że trzeba było przedkładać wszystkie dokumenty, żeby dziecko zapisać do szkoły, to poszedł tata zapisać mnie. Ja pierwsze świadectwa miałam wydane, że urodziłam się w dwudziestym dziewiątym roku, bo wtedy ten rocznik był przyjmowany. Czyli byłam zawsze młodsza w klasie o ten rok. Do trzydziestego dziewiątego roku zaliczyłam już te trzy klasy szkoły podstawowej. Szkoła była w ogromnej wsi takiej, Siedliszcze, która przylegała do miasteczka Ludwipol. Ludwipol to była miejscowość, miasteczko, w którym był rynek, z trzy, cztery ulice. Chyba tylko dwa czy trzy domy murowane. Reszta to były chatupy takie. I tam stacjonowała kompania KOP-u. Wobec tego, to dzięki stacjonowaniu tych młodych ludzi i wojska to było takie dość aktywne. Młodzież, należąca do katolickiego

stowarzyszenia polskiej młodzieży urządzała różne imprezy i moi rodzice byli takimi aktywnymi obywatelami tego miasta. Mój tata pochodził z Horochowa gdzieś z okolic Łucka. Mama z Głuboczanki, czyli gdzie wspominałam już na wstępie, że tam często spędzałam wakacje, bo babcia tam mieszkała. Obaj dziadkowie moi umarli jeszcze przed wojną, a obie babki nie przeżyły wojny. Babcia Olejarzowa została zamordowana przez Ukraińców, babcia Łukomska zginęła w czasie działań frontowych w Radzynie Podlaskim, a jak do tego doszło, to długa droga, bo musiałabym opowiedzieć, co się z nami działo po rozpoczęciu wojny. Tata został zmobilizowany do wojska w sierpniu, a wcześniej to zaliczył I Wojnę Światową, bo chyba był w tych oddziałach Hallera jako ochotnik. Po rozwiązaniu tych oddziałów osiedlił się w Ludwipolu, ponieważ tam powstawała parafia, a tata mój był takim przyuczonym chłopcem do gry w kościele na organach. No więc tam nie było jeszcze organów, ale kościół, który się budował i kaplica, która wcześniej powstała, bo była jeszcze w czasie zaborów wybudowana. Harmonia była tylko i tata grał. Ale że był takim organizatorem niezłym, więc zorganizował orkiestrę, do której werbował ludzi bez względu na wyznanie i pochodzenie. Więc w orkiestrze byli nawet Ukraińcy, to znaczy Polacy i Ukraińcy, bo tam w sąsiedztwie Ludwipola było kilka wsi osadników polskich i były też wsie ukraińskie. W samym miasteczku bardzo dużo było żydowskich rodzin, ukraińskich i Polaków, więc głównie ci którzy w administracji, policjanci to były napływowe rodziny, które przyjechały z centralnej Polski. Szczegóły są opisane w książce u pani Marciniak „Ziemia moja wołyńska”. Ona została wydana, nie wiem, w dwutysięcznym którymś, na początku. Tam też szczegóły już nie będę opowiadać, bo tam można zaczerpnąć informacje z tego. Jeśli chodzi o tę orkiestrę, którą tata organizował, przyjmował nawet analfabetów, bo przecież młodzież dorastała, nie raz nie mając możliwości kształcenia się, bo z biednych rodzin. Więc jeżeli był zdolny, miał chęci, to tata nauczył go czytania nut i byli tacy. Potem właśnie dzięki temu, tym umiejętnościom nabytym wielu przeżyło wojnę i dziękowali potem mamie, przysyłała listy z podziękowaniem, że dzięki temu uniknęli udziałów frontowych w wojskach, bo zawsze załapali się na jakieś te... w orkiestrach wojskowych. Dzięki temu wojnę przeżyli. Opisy tych spraw też są w tej książeczce pani Marciniak. Jak siedemnastego, tuż przed siedemnastym wrześniem rok szkolny się zaczął, już w trzydziestym dziewiątym roku, siostra moja już nie pojechała do Krzemieńca, bo ona była stypendystką gminną i zaliczyła trzy klasy gimnazjum w Krzemieńcu. Przed 17 września były bombardowania sąsiednich miejscowości. Bereźne było bombardowane, bo u nas było słychać wybuchy i widać łuny pożarów. Więc my, dzieci, mama była sama, więc przebywałyśmy w tym czasie u babci na wsi w Głuboczance. Natomiast w Ludwipolu rodzice mieszkali w organistówce, w domu parafialnym. To nowo wybudowany budynek. Ja nie byłam świadkiem wkroczenia do miasta sowieckich oddziałów, natomiast mama tylko opowiadała, że bolało ją to, że przed wejściem tych oddziałów sowieckich, żydowskiego pochodzenia chłopcy rozbijali orzeł, bo był taki na cokole ustawiony orzeł przed budynkiem gminy. Oni już tam jakieś powitalne bramy szykowali dla przyjęcia tych Sowietów. Tata był w wojsku. Siedemnastego po wkroczeniu, ksiądz proboszcz, ponieważ był uciekinierem od bolszewików, nielegalnie przeszedł na stronę polską ze Związku Radzieckiego, więc był zagrożony. Mama tylko zawiadomiła go, bo mama się dowiedziała o tym, że wkraczają Sowietci od policjanta, który przybiegł i prosił o jakiś medalik czy krzyżyk, żeby mama mu dała, bo on ucieka i nie wie, czy przeżyje tę wojnę. I mama zawiadomiła naszego proboszcza, jeszcze proboszcz powiedział: „Pani Amelio, nie mam ani grosza przy sobie, bo wczoraj pani wypłaciłem ostatnią...” nie pobory dla męża, bo przecież utrzymywaliśmy się z tych właśnie niewysokich opłat parafialnych, jakie dostawał z parafii. Więc mama oddała nawet połowę tej swojej pensji ojca i ksiądz uciekł. Bolesław Żyliński się nazywał. Potem dostaliśmy kartkę, tylko już nie pamiętam, kiedy to było, z jakimiś pozdrowieniami, ale ta kartka była z Katynia. Czy on tam trafił, czy to był jego brat, ja nie pamiętam, bo ja tej kartki nie czytałam. Tylko wiem, że rodzice o tym mówili,

że to pewnie od księdza jest, ale jak było naprawdę, to nie wiem. Myśmy gdzieś pod koniec września albo w pierwszych dniach października tata wrócił z wojska, bo tata nie był oficerem, był szeregowym, więc zwolnili go. Natomiast zmobilizowany był w sierpniu razem z moim tatą wujek Jaszczyński Zygmunt. To jest mąż mojej ciotki, czyli siostry mojej mamy z domu łukomskiej. Wujek Jaszczyński jako oficer trafił do niewoli niemieckiej do oflagu. Był w Woldenbergu, przeżył wojnę. Gdyby trafił do niewoli sowieckiej, pewnie zginąłby w Katyniu. Ponieważ ciocia Jaszczyńska była pracownikiem gminy, w sekretariacie gminy pracowała, a wujek Jaszczyński, który pochodzi z Lubelszczyzny, przyjechał tam jako budowniczy dróg i mostów. Więc był też pracownikiem gminy od sprawy infrastruktury gminnej. Ożenił się z cicią w trzydziestym ósmym roku. W trzydziestym dziewiątym urodziła się mała Elżunia, ich córeczka. Ciocia Jaszczyńska pracowała po wejściu Sowietów też w gminie, bo oni potrzebowali. Zajmowała się wtedy działem oświaty, czyli przesunęli ją z tych organizacyjnych, gminnych spraw do wydziału szkolnictwa. Pracowała tam do czterdziestego roku, do wiosny. Natomiast wiosną, w czerwcu czterdziestego roku została wywieziona do Kazachstanu z malutką Elżunią. Ja jestem świadkiem tej operacji. Przyjechał jeden enkawudzista ze strażnikiem, z karabinem i jakiś wieśniak ukraiński, który jako tak zwaną podwodę dostarczył. To znaczy miał nakaz dostarczenia wozu z koniem, więc jako woźnica. To było gdzieś tak na początku czerwca w czterdziestym roku. Ciocia już wiedziała, że wujek jest w niewoli. Więc nawet jeszcze pozwolili jej w Ludwipolu z poczty odebrać ostatni list od wujka. Ci Sowietci byli zaskoczeni, bo on zdjęcie swoje przysłał, że jest w mundurze z wszystkimi tymi odznakami, że niewolnik był potraktowany tak z honorami. Ten żołdat, który był z karabinem, to on mówił tak: „Beri jak najwięcej”, bierz jak najwięcej, pakuj rzeczy, bo wszystko ci się przyda. Ciocia miała taki, był luźny siennik do wypychania słomy, bo lokatorów u babci bardzo przybyło na początku wojny dlatego, że jeszcze jedna córka z mężem przyjechała i z dziećmi swoimi, i u babci spędzała ten czas, bo przynajmniej strawa była zapewniona i warunki jakieś tam były znośne w domu. A tak to stracili w ogóle rację bytu, bo wszystkie te urzędy..., bo były urzędnicze rodziny. Mieszkała ciocia, ta o której teraz mówię, w Bereźnem. Wujek pracował w gminie, a ciocia się zajmowała wychowaniem dwóch córek. Babcia bardzo prosiła cicię Jaszczyńską, żeby zostawiła tę malutką Elżunię, że będzie jej łatwiej przeżyć tę zsyłkę bez dziecka. Nie wiem, jak by zareagował enkawudzista, ale ciocia od razu storpedowała tę propozycję babci i powiedziała, że: „Co się ze mną stanie, to i to samo z Elżunią” i zabrała to dziecko ze sobą. Napakowali cały ogromny siennik. Nawet garnitury wujka ciocia wzięła, bo już dochodziły słuchy wcześniej wywiezionych, że dobrze wziąć ze sobą więcej rzeczy, bo można je spieniężyć tam nawet na tych terenach, gdzie oni będą osiedleni. Będą mogli to spieniężyć i łatwiej będzie im przetrwać ten czas, i tak było. Ciocia wyładowała w Kazachstanie, w Kustanajskiej oblasti, Oziernyj rejon. Ja później ten Oziernyj rejon pamiętam go do dziś, bo wysłano tam sporo paczek jeszcze, które były przygotowywane przez dwoje młodych ludzi, bardzo zasłużonych w wspieraniu rodziny. To znaczy moja starsza siostra, ta która w Krzemieńcu się uczyła i młody Andrzej Netzel, to jest bratanek mojego wuja. Tego, który pracował w Bereźnem w gminie. Te dzieci brata wujka trafiły do Bereźna dzięki takiej rodzinnej, trudno nazwać to tragedią, ale to bolesna sprawa, bo się rodzice ich rozeszli przed wojną jeszcze. Ciocia Halina Neclowa miała pod opieką jeszcze dwoje starszych dzieci Andrzeja i Basię, którymi się opiekowała w Bereźnem. Oni też z nami wojnę spędzali. Stacha, moja siostra Stanisława i Andrzej Necel byli głównymi macherami przy żarnach, bo oni właśnie męli mąkę i dzięki temu można było piec chleb i egzystować tam jako tako. Szczególnie byli potrzebni w czterdziestym trzecim roku, jak zabrakło już naszych wujków. Po kolei jeszcze, to wywózka. Paczki były wysyłane do Kazachstanu, natomiast z naszą rodziną, moją bezpośrednio, to tata wrócił chyba w końcu września albo w pierwszych dniach października, a my dostaliśmy nakaz. Przyszedł bolszewik z karabinem: Nam nużna kwartira, wybierajties. Wyrzucili nas z domu, bo to or-

ganistówka była, więc własność nie nasza. No to kwartira była potrzebna, więc tata zapakował nas na furmankę i pojechaliśmy do odległego miasta, miasteczka Derażne. Derażne, w którym był pałac Potockich, majątek Potockich, tam była szkoła, a zamieszkaliśmy w Anielówce, w takiej wsi niedaleko, trzy kilometry od Derażne. Tam mieszkali moi stryjowie, tam dziadkowie Olejaszowie mieszkali. Dziadek był kowalem majątku Wydźgi. Ten majątek to ja później nie wiem, co się z tym stało. Ja tylko spędziłam tam zimę w tej Anielówce. Myśmy, jak przeżyli tę zimę, to ze względu na to, że ciocię Lung – Jaszczyńską wywieziono, to już u babci się znalazł jeden z pokoi, to myśmy wrócili na Głuboczankę, bo warunki u Olejaszów tam, gdzieś zimowali, też były bardzo skromne i rodzina liczna. Tam chodziłam do szkoły w Derażnem, cztery kilometry. To nieraz były takie zabawne historie, bo jak jechał jakiś wóz, to żeśmy się czepiali tej furmanki: Dziadźka, podwiezicie? No to wsiadajcie. To wsiaadałam, chodziłam w jakimś krótkim paltku, z którego wyrosłam. Buty miałam po siostrze ciotecznej. Miałam strasznie przeziębione kolana. Wiem, że na wiosnę dostałam jakiejś strasznej choroby. Może to było i z niedożywienia, bośmy nieraz jedli po trzy razy dziennie krupnik z kaszy jaglanej, bo tylko taka była. Były obowiązkowe dostawy. Niestety każdy gospodarz musiał ileś tam oddać zboża. Ale takie rodziny, które się nagle pomnożyły dwukrotnie, bo stryjka rodzina liczyła sześć osób i myśmy dojechali drugie sześć osób, to była to już rodzina bardzo duża. Więc niełatwo było. Bardzo chorowałam na wiosnę. Miałam owrzodzenia, ale jakoś z tego wyszłam. Więc jest teraz ten etap jak przeżywaliście okupację, tak? Mielśmy przygotowany worek sucharów, bo liczyliśmy na to, bo liczyliśmy się z tym, bo to jest co innego liczyć na to, a liczyć się z tym, że na pewno jesteśmy elementem niepożądanym dla nowych władz. Wobec tego na pewno byśmy byli na liście do wywiezienia. Tylko oni rozprawiali się najpierw... Wywożono najpierw tych, którzy mieli dostęp do broni, a więc policjantów, rodziny policjantów, leśników poszły w pierwszym rzucie. Ciocia Jaszczyńska jako żona oficera to już poszła w tej czerwcowej wywózce. Być może później byśmy byli my wywiezieni. Ale potem jakoś... Jeśli chodzi o sowiecki, te czasy dwa lata, dwie zimy sowieckie. Drugi rok to ja z kolei musiałam chodzić z Głuboczanki, w której nie było szkoły, bo to były takie osiedla, osada kilku domów tylko. Chodziłam do Zastawia, a Zastawie to była skolonizowana wieś taka, trzy ulicówki ogromne, długie, Polaków zasiedlonych tam, ja nie pamiętam z jakiego okresu. Ja jeszcze wtedy nie rozumiałam tego. Moja rodzina to raczej należała do tych zasiedziały od ponad stu lat, bo to byli moi dziadowie. Moi dziadowie byli leśnikami lub administratorami majątków. Za wysługę lat pracy dostawali jakieś tam działki i tam gospodarzyli jako już zasłużeni rolnicy, którzy nabyli ten majątek od dziedziców za pracę. Tak było z Głuboczanką, bo to było dość spore. Tam jeszcze z rodziny mieszkali inni kuzyni. Drugą zimę, ponieważ miasteczko funkcjonowało normalnie, bo pod okupacją sowiecką jakoś gmina tam działała. Ludzie starania robili, żeby jakiś ksiądz przyjechał i objął parafię i przystano księdza Kaszubę. Takiego zakonnika z Krakowa, który teraz... Ksiądz Kaszuba on jest nawet... Chyba proces beatyfikacyjny się teraz jego otworzył, bo to był taki, jak to powiedzieć, apostoł Kazachstanu. Ksiądz Serafin Kaszuba. Ten Serafin Kaszuba przyjechał do Ludwipola, zamieszkał, bo dom parafialny, ta plebania była zajęta przez Sowietów, bo oni jakąś administrację tam musieli swoją utworzyć. Te domy przy kościelne były zarekwirowane. Ja nie pamiętam dokładnie, jak to było, bo jakoś tego okresu z pamięci, nie wryło mi się to w pamięć. Ksiądz Kaszuba mieszkał w Zastawiu i dojeżdżał, dochodził do kościoła, odprawiał mszę i jakoś tam ta parafia zaczęła egzystować w czasie okupacji też. Natomiast ja chodziłam do szkoły w Zastawiu. Tam były lekcje w języku polskim. Natomiast w Derażnem to były już po ukraińsku, bo tam była większość Ukraińców. Do trzydziestego dziewiątego roku to w klasach były, klasy mieszane. Dzieci były ukraińskie i polskie. Nauka generalnie była w języku polskim, ale wykłady, lekcje języka ukraińskiego także były wprowadzone dla dzieci ukraińskich. Tak że oni uczyli się w polskiej szkole, ale mieli lekcje ukraińskiego. Ponieważ moi rodzice byli tacy otwarci, nie byli

tacy, uważali, że trzeba znać język. Nic nam się nie stanie, dzieciom, jeżeli będziemy także uczestniczyć w tych lekcjach języka ukraińskiego. I ja w tej drugiej i trzeciej klasie już się uczyłam tego ukraińskiego. Był nauczyciel do tego przedmiotu i ja nie wiem, czy dwa razy w tygodniu lekcja godzinna, czy dwa razy. Już ile godzin, to nie pamiętam tego. Ale uczyłam się, tak że nie było to dla mnie obce, jak już później sowieckie władze narzuciły nam ten język ukraiński. Ja wiem, że na początku właśnie w Derażnem to były takie czasami sytuacje, bo i nauczycieli nie mieli, żeby wszystko prowadzić w języku ukraińskim. Więc oficjalnie było, że trzeba wprowadzać język ukraiński, ale nie miał kto tego robić. Więc jeżeli byli Ukraińcy nauczycielami, to oni starali się każdy przedmiot prowadzić po ukraińsku. Ale było różnie. W Zastawiu uczyliśmy się wszystkiego po polsku, bo to była kolonia wyłącznie Polaków w miejscowości. Na lekcje religii przed wojną przychodził batiuszka do dzieci ukraińskich, prawosławnych, ksiądz. I nasz ksiądz Żyliński do polskich dzieci. Wchodziliśmy do różnych sal, oni mieli religię swoją prawosławną i my katolicką. Jeżeli chodzi o księdza Kaszuba, to on był nie długo, bo nie wiem, z jakich powodów był odwołany czy wysłany gdzieś indziej i przyjechał inny potem ksiądz. Ten inny to przyjechał chyba już jak już front niemiecki przeszedł. Dlatego że wywózka cioci była w czterdziestym roku, a w czterdziestym pierwszym już wojna niemiecko-sowiecka się zaczęła. Wojnę sowiecko-niemiecką też przeżyłam w Głuboczance, w tej małej wsi. Taki chutor. Dlatego że pamiętam tych żołdatów stojących, stacjonujących na podwórku u babci. Dlatego że u babci na podwórku była studnia, dom był taki trochę zamożniejszy, duży. Oni tam kuchnie ustawiali swoje wojskowe, bo mieli dostęp do pitnej wody. Na wsiach to albo noszono wodę z jakichś źródełek albo gdzieś. Tych studni nie było wiele, a u babci była taka z żurawiem studnia. Front niemiecki bardzo szybko się cofał. Sowietom bardzo szybko się wycofywali, oni się poddawali łatwo Niemcom. Oni zobaczyli, jak żyją Polacy w porównaniu z życiem w Związku Radzieckim. Oni byli zaskoczeni, że my tacy zamożni jesteśmy. Myślę, że oni się poddawali, bo właściwie nie było czego bronić w tym Związku Radzieckim. Wieści, jakie poszły później do nich, że jeńcy nie byli dobrze traktowani, a nie byli, to Niemcy... Dlatego później zaczęli stawiać większy opór Niemcom. Ja pamiętam wynędniałych tych jeńców sowieckich, którzy, przy naszej szkole był taki drutem kolczastym, na boisku szkolnym otoczony. Oni nie wiem, jak długo tam byli dzień, dwa, trzy, bo nie mieli wojskowych tych posiłków transportu, żeby ich przetransportować gdzieś w głąb Niemiec. To ja pamiętam, że myśmy chleb dawali tym jeńcom, podawaliśmy, żeby ich wspomóc. To znaczy, dzieci idące do szkoły, dawały swoje kanapki. Oni byli bardzo źle traktowani przez Niemców. Ja to tak mam trochę obraz taki... Wiem, że szukałam tej kanapki, koniecznie chciałam też dać tym, ale dlaczego to było i z jakich powodów, to ja już nie umiem... Jakoś z pamięci mam wymazane. Ale te wynędniałe twarze jeńców sowieckich mam w pamięci. I już od września w czterdziestym pierwszym roku to już znaleźliśmy się pod okupacją niemiecką. To znaczy wcześniej, bo to nastąpiła. W czerwcu wybuchła wojna, to już lipiec, sierpień to już front przeszedł daleko. Odzyskaliśmy organistówkę, wróciliśmy do domu. I wtedy przyjechał inny zakonnik z Krakowa, franciszkanin. Ksiądz Wojtuń, Bolesław Wojtuń i objął parafię ludwipolską, a ksiądz Serafin wyjechał, nie wiem dokąd. Szkoła w Siedliszczach, w tej dużej ukraińskiej wsi, która obsługiwała też Ludwipol. Tam były dzieci ukraińskie, ale obowiązkowym językiem wykładowym był ukraiński. I niemieckiego się już zaczęłam uczyć. Więc uczyłam się i hymnu ukraińskiego, i hymnu niemieckiego. Tak że miałam urozmaicone dzieciństwo. Jesień czterdziesty drugi to niemiecka okupacja. Władzę obejmuje przysłany taki komendant niemiecki, nie wiem, w czarnym mundurze chodził. Policja była organizowana z Ukraińców. Werbowano Ukraińców, wspomagała władze niemieckie. Miasteczko Ludwipol jest nad Słuczą i przy ujściu rzeczki Stawy. Ta rzeczka Stawy oddzielała miasteczko Ludwipol od tej wsi ogromnej, Siedliszcze Wielkie. Za Słuczą były lasy i było wzgórze Hubków. Wieś duża, wieś Hubków i ruiny zamku Hubków. To chyba ten zamek należał do Siemaszków czy to nie wiem już do kogo. Tam w po-

blizu tego Hubkowa Niemcy zorganizowali kamieniołomy. Wydobywane były bazaltowe pokłady na Wołyniu. I kostkę brukową robili, bo oni zmotoryzowani byli, więc potrzebne były im drogi. Niemcy natychmiast zelektryfikowali miasteczko, bo elektryczności nie było przed wojną i nie było w czasie wojny u Sowieców. Oni zainstalowali jakąś tam maszynę w młynie, która produkowała prąd. Nie wiem, na jakiej zasadzie. Ja tylko byłam zaskoczona, że światło się pojawiło na słupach i były oświetlone ulice. Dużo było takiego wojska pomocniczego. Oni te prace prowadzili. Brukowanie dróg i tak zwaną infrastrukturę wojskową to załatwiali Węgrzy. To oddziały węgierskie były. Przy tych kamieniołomach były baraki dla robotników. Tam więziono ludzi najpierw, jakiś przymusowych pracowników angażowano. Ja tam nie byłam, więc ja nie widziałam tego, ale potem do tych baraków ściągnęli Żydów z całej okolicy. I tam późną jesienią czterdziestego drugiego roku zlikwidowano tych Żydów. Cyganów, Żydów przy tych kamieniołomach, w jakiejś miejscowości. Natomiast odpowiedzialnym za kamieniołomy był przywieziony z Generalnego Gubernatorstwa inżynier Piotrowski, który pochodził z Piotrkowa Trybunalskiego. On tam był odpowiedzialny za wytwarzanie tej kostki brukowej. Do tego potrzebny był też, środki wybuchowe, dynamit. W sylwestra z czterdziestego drugiego na czterdziesty trzeci był napad na posterunek niemiecki i tam chyba zabito, nie wiem, jakie ofiary były poniesione przez Niemców, ale samochodami Niemcy uciekli. Ilu zginęło, ilu uciekło, tego to ja nie wiem zupełnie. To był napad partyzantki sowieckiej, która gdzieś tam w lasach się kryła. Od tego sylwestra czterdziestego trzeciego roku, to znaczy z czterdziestego drugiego na czterdziesty trzeci to miasteczko Ludwipol nie miało żadnej władzy. Wszystkie papiery w gminie zostały wyrzucone, rozbebeszone. Magazyny rozkradzione. Do rozkradania to się chętnych znalazło. To wszystko okoliczna ludność, bo wtedy było dość trudno o żywność. Tam były magazyny zbożowe i ziemniaki przechowywane. I takie bezprawie zapanowało aż do... Już właściwie w czterdziestym trzecim roku żadnej władzy już nie było. W czterdziestym trzecim roku po tym napadzie jak przestały funkcjonować gmina i posterunki, to zaczęło się takie bezkrólewie. Wtedy od czasu do czasu przyjeżdżały jakieś nieznane oddziały upowskie. My w ogóle nie wiedzieliśmy, kto to jest. Na koniach, jacyś z bronią ludzie. Ale przejechali się, zmanifestowali swoją obecność i to było takie bezkrólewie kompletne przez trzy miesiące. Ale drugiego lutego w czterdziestym trzecim roku przyszedł taki oddział, nie wiem, ile tam było osób, cztery, pięć, do domu mojej babci. I robili rewizję. Czegoś szukali, ale czego to nie wiem. Przy okazji zabrali bardzo dużo rzeczy takich z odzieży, z pościeli. Wyprawdzili potem trzech wujków. Dwóch braci mojej mamy i tego szwagra Witolda Necla. Wyprawdzili na pole i pod taką gruszą rozstrzelali. Zastrzelili, nie pastwili się. Później ciocia opowiadała, że prawdopodobnie moi wujkowie pomagali temu panu Piotrowskiemu ukryć ten dynamit z tych kamieniołomów, bo on był przecież odpowiedzialny za te materiały wybuchowe przed Niemcami. Ponieważ po napadzie na posterunek niemiecki żadnej władzy nie było, to on musiał coś z tym zrobić, żeby potem go do odpowiedzialności nie pociągali, że on gdzieś to spławił czy oddał. Więc prawdopodobnie wujek przechowywał gdzieś, może nie całość, nie wiem zresztą, jak to było. Ja tylko z rozmów dorosłych to co zasłyszałam. Ponieważ w tej grupie tych Ukraińców, bo to byli Ukraińcy, był też nauczyciel mojej siostry młodszej, Ukrainiec. To on jak otworzył drzwi i zobaczył tę moją siostrę Alicję, to on zamknął natychmiast te drzwi i mówi: „Tam nie wchodzić tam dzieci śpią”. On nie chciał, żeby później ona go rozpoznała czy coś takiego, nie wiem. To jest ten jedyny pokój, z którego nie wyniesiono rzeczy. Tak to było wszystko splądrowane, że później ciocia rano nie miała w co się ubrać, bo było bardzo dużo. Dwie firy takie odzieży i pościeli wywiezione, ukradli. A tych wujków rano znaleziono pod gruszą zastrzelonych. Ten obraz tych trzech trupów na podłodze, a potem te trzy plany na podłodze, które się nie dały zmyć, to ja to do końca życia będę miała w pamięci. Zginęło dwóch braci mojej mamy i szwagier. To był pierwszy mord w okolicy naszej tam na Wołyniu, w tym kostopolskim powiecie. Ale to nie była taka

akcja tych rzezi wołyńskich tylko to taka rozprawa prawdopodobnie to jakieś targi szły o te materiały wybuchowe. Był pogrzeb i potem Niemcy zorganizowali wreszcie jakieś siły i przyjechali rozprawić się z tym miasteczkiem, z Ludwipolem, za napad z bronią w rękę i za zlikwidowanie tego posterunku. Przyjechali, to było w końcu marca, nie wiem, czy to był dwudziesty trzeci czy dwudziesty piąty marca. To była jakaś niedziele chyba. Przyjechali, ostrzelali całe miasteczko i spalili dom po domu. Jak zaczęła się strzelanina, bo jak zbliżali się do miasta, to rodzice mówią: „W domu niebezpiecznie to chodźmy do piwnicy”. Była to była tak zwany loch, to znaczy dół, przykryty dachówką. Taka ziemianka. Tam przechowywane były ziemniaki i jakaś beczka z kapustą, z ogórkami. Przecież tam ani lodówek, ani innych takich nie było jeszcze urzędzeń. Weszliśmy do tej piwnicy, jeszcze przybiegła pani Neclowa ze swoimi dziećmi i nas czworo. Ja już nie pamiętam, bo siostra była u babci, bo po śmierci wujków nie miał się kto zajmować gospodarstwem. Moja siostra starsza i ten Andrzej pojechali tam i tam właśnie oni gospodarzyli cały czas. Myśmy w tej piwnicy, tata jeszcze ostatni wchodził, przysunął te drzwi i stał taki snopek słomiany do uszczelniania, żeby zimne powietrze nie wchodziło do tego lochu, żeby ziemniaki nie przymarzły. Tata przyciągnął ten snopek słomiany do drzwi, żeby zasłonić, zakamuflować, że tam ktośkolwiek jest. Dlaczego tak zrobił, nie wiem. Myśmy słyszeli, że Niemcy chodzą, kury łapią. Rozmawiają ze sobą. Spalił się dom, wszystko co w otoczeniu, sąsiednie domy. Został tylko murowany dom tam, gdzie był, to był dom Murawjowych. To takich zubożałych szlachty rosyjskiej. I tam właśnie w tym w domu u Murawjowych to ja często tam zabawy urządzałam z tym wnuczkiem Jurkiem, który później był... Którego ojciec był nauczycielem w naszej szkole. To trwało tak, że myśmy tam siedzieli całą noc, cały dzień. Jak już ucichło, zrobiło się ciemno, tata wyjrzał, mówi: „Nie ma domu, nie ma nic”. Ale została chyba jeszcze niespalona obora, bo była odległa trochę od domu w takiej dolince, bo tam brano piasek czy coś do robienia fundamentów pod kościół, pod coś. Jakieś takie doły były i tam była obora. Wyprowadził tę krowę i myśmy z tą krową wędrowali do Głuboczanki, do babci, a zostały tylko komin i łóżka żelazne, jakie tam jedno czy dwa były, bo reszty co drewniane, to wszystko spłonęło. Ludwipol przestał istnieć w ten sposób.